NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata miesięczna 3,200.000 Mkp
Zagranicą podwójnie.

Redaktor naczelny TADEUSZ ŚWIĘCICKI

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Należytość pocztowa opłaconą ryczałtem.

Numer pojedynczy 850.000 Marek.

Rok XXI. Kraków, 2 lutego 1924. Nr. 5.

Katastrofalny krach czarnogiełdziarzy





Ratunkowy Komitet Biskupi: Twórca i przewodniczący Komitetu książę biskup krakowski Adam Stefan Sapieha

Uzdrawiające lecz ciężkie przesilenie.

Pan minister Grabski przeprowadza swe plany naprawienia i uzdrowienia skarbu z żelazną iście konsekwencją i żelazną ręką. Śruba podatkowa ciśnie coraz mocniej, dochody skarbu wzrastają i dolar ustabilizował się od trzech tygodni niemal na tej samej wysokości. Skarb państwa zdrowieje i coraz mocniej rozrastają się podstawy dla utworzenia Banku emisyjnego, stałej waluty i normalnego życia finansowego.

Ale zanim te normalne stosunki zostaną, zanim ozdrowiejemy z choroby pieniądza przejść musimy przez ciężki i dotkliwy kryzys, kryzys, który dotknie wszystkich bez wyjątku, posiadających i nieposiadających, a szczególnie dotkliwie da się we znaki tym, którzy żyją z pracy własnej, z pracy rąk swoich czy pracy umysłu.

Zanim bowiem płace pracowników doganiając (jakże powoli) drożyznę osiągną poziom choćby zbliżony tylko do przedwojennego „standar of. life“, przeciętnego poziomu życia, przejdziemy przez kilkumiesięczny przynajmniej okres ubóstwa, a nawet więcej niż ubóstwa — bo nędzy.

Dotknie ta nędza pracowników umysłowych i doświadczy warstwy pracujące, robotnicze, które znajdą się w ciężkiej sytuacji wobec kryzysu przemysłowego i zbliżającego się już szybko bezrobocia.

Ta największa dziś bolączka Anglji, do niedawna Czech a od niedawna i Niemiec i nas także ciężko doświadczy.

Pan minister Grabski zdaje sobie z tego sprawę, przewiduje to i przygotowuje różne środki zaradcze w pierwszym rzędzie przeciw bezrobociu.

Lecz akcja rządowa — to nie wszystko. Rząd wszystkiego załatwić nie może. Konieczna tu jest wydatna współpraca całego społeczeństwa. Konieczne jest powołanie do życia w jaknajszerszej mierze samopomocy społecznej, którąby ułatwiła przetrzymanie najcięższych dni tym wszystkim, których okres przejściowy doświadczy nędzą.

To też akcja podjęta przez Ratunkowy Komitet Biskupi musi znaleść echo w społeczeństwie, musi spotkać się z jak najżywszą współpracą najszerszych sfer.

Kraków pierwszy w Polsce do tej pracy ratunkowej stanął i daje przykład całemu krajowi zrozumienia sytuacji, męskiego spojrzenia w oczy nadchodzącym ciężkim dniom i podjęcia walki z ich grozą.

Niechże wyniki tej akcji będą dowodem, że Kraków będzie przodować nietylko w rzucaniu myśli, ale także w świetnym tych idei urzeczywistnianiu. *Andrzej Świętosławski.*

Słuchajcie!

Słuchajcie! Tam za ścianą daleko daleko
Tam za hukiem, za stukiem, za światłem nad rzeką
Słuchajcie tam, w ciemnościach, jakby nurt wezbrany,
Szumi armia młodości, odzianej w łachmany,
Szumi rynsztok człowieczy, zlew całej stolicy:
Ulicznicy!

Rodzą się, widzą, słyszą, rosną gnani żądzą,
Bawią się wytrychami, osądzeni sądzą,
Dojrzewają pod kluczem, na wolność puszczeni
Wierzą w jedno: w odkryty skarb cudzej kieszeni,
I mszczą się za huk, za stuk, za światło stolicy:
Nożownicy!

Nasza wina. Stawali przed oknem kawiarni
Robaczywi, na duszy i na ciele czarni
A my, zajęci sobą, myśmy nie przeczuli,
Że z czasem w purpurowej zjawią się koszuli,
Po trzykroć farbowanej krwią całej stolicy:
Bolszewicy!

Spieszmy więc tam, daleko, daleko, nad rzekę,
Do dziatwy, którą zbrodnia bierze pod opiekę.
Spieszmy w serca zapadłe, jak w zapadłe kąty,
Rzucać ziarno, by zebrać owoc sześćdziesiąty
I wiedzieć, że stróżują dokoła stolicy:
Sojusznicy!

K. H. Rostworowski

Odezwa Ratunkowego Komitetu Biskupiego w Krakowie.

Groza obecnego położenia wymaga wielkich ofiar od wszystkich obywateli, nie wyłączając nawet najbiedniejszych.

Czarna nędza już dziś gości pośród nas i napełnia serca goryczą.

W imię chrześcijańskiej miłości bliźniego i najpilniejszego obowiązku wobec ojczyzny, należy jaknajszybciej podjąć akcję ratunkową.

W tym celu utworzył się w najcięższej chwili, na przeciąg trzech miesięcy Ratunkowy Komitet Biskupi (R. K. B.), którego działalność obejmie na razie miasto Kraków, oraz dyecezję krakowską. Żywotność i skuteczność Komitetu, zależeć będą oczywiście od żywotności i współpracy społeczeństwa.

Hasłem Komitetu będzie: ratujmy od nieuniknionego upadku już istniejące Zakłady dobroczynne i nieśmy doraźną pomoc tym, którzy wyczerpawszy ostatnie siły i zasoby konieczne do życia, staczają się na dno rozpaczy.

R. K. B. wzywa przeto do ofiarności szybkiej, wydatnej i powszechnej.

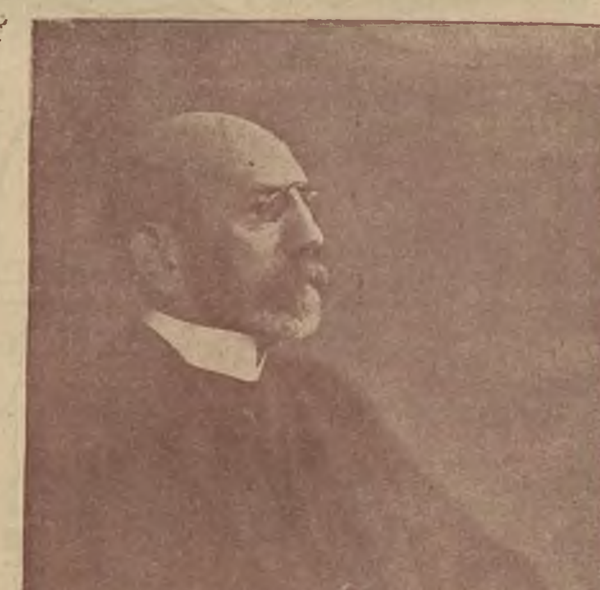
Obok wielkości datków, ilość ich stanowi bowiem silną finansową podstawę.

Ten co może wiele, niech daje wiele — ten co ma mało, niech pamięta o ważkości wdowiego grosza.

Niema tu żadnej wymówki: kto nie jest z nędzarzami, ten jest przeciw nim — a kto dla nich nie buduje, ten burzy.

Wspólne uczucie miłosierdzia, wspólna ofiara i wspólna praca, niech nam będą zadatkiem solidarności, do której wszyscy, jako prawi synowie ojczyzny, dążymy.

W imię więc Boga i Ojczyzny — do dzieła!



Ci, którzy biorą udział w pracy Ratunkowego Komitetu Biskupiego: Prezes Akademji Umiejętności prof. dr. Morawski.

Odezwę podpisali:
Książę biskup *Adam Sapieha*, wojewoda *Władysław Kowalikowski, Róża Raczyńska, Tad. Bednarski, Kaz. Warzeszkiewicz, Franciszek Ksawery Pusłowski, Stefan Skrzyński, Franciszek Macharski, Adam Jędrzejowicz, Zbigniew Horodyński, Mieczysław Szybalski, Jan Górski, Paweł Prachtel, Jan Kanty Federowicz, Ks. Czesław Wą-*

Fryderyk Mauzens.

Z BAGNA PARYŻA

11

— Raz!.. Dwa!... Trzy!...

Godzina jedenasta rano. Obydwaj przeciwnicy w czarnych strojach nieruchomi, wyprostowani, stali naprzeciw siebie na trawniku w welodronie. Rozdzielała ich przestrzeń trzydzieści pięciu kroków. Prawe ich ręce podniosły się jednocześnie i oba pistolety wypaliły. Po podwójnym strzale nastąpiła chwila milczenia, wszyscy pozostali bez ruchu, tak iż zdawać się mogło, iż pojedynkujący, świadkowie, lekarze i ciekawi zapadli nagle w jakiś kataleptyczny sen... Razem jednak z obłokami dymu rozwiązało się i to osłupienie i wszyscy pośpieszyli do walczących, którzy opuścili już wyciągnięte ręce.

— Nie trafili!

Zdanie to powtarzane z ust do ust przedostało się zaraz i za welodron, za którym stały panie, urzędnicy z welodronu i z kinematografów, reporterzy pism ilustrowanych z nastawionemi aparatami fotograficznemi, stangreci i szoferzy, oczekujący na swych panów i wszyscy powtarzali:

— Nie trafili.

Piotra Cartelegue'a i Karola Turnera okrążył już cały tłum sportowców, klubowców, dziennikarzy. Rzadko zdarzało się widzieć przy pojedynku taki napływ publiczności. Wiele na to wpłynęła znana powszechnie i bardzo lubiana ogólnie osobistość króla stu dwudziestu koni; lecz więcej jeszcze tu zdziałały zabiegi jego przeciwnika.

Panajon bowiem zatelefonował do wszystkich prawie główniejszych dzienników paryskich, podając fałszywe nazwisko i przedstawiając się za przyjaciela Piotra Cartelegue'a, rozgłosił to spotkanie między australskim miljonerem Karolem Turnerem a zwycięscą wyścigów samochodowych. Jako ważny szczegół komunikował, iż ma nastąpić czterokrotna wymiana kul na przestrzeni dziesięciu kroków.

Dzienniki przed podaniem do ogólnej wiadomości tej nowiny, starały się w pewnej mierze o jej sprawdzenie. Reporterzy zjawili się zaraz u Piotra Cartelegue'a, który jednak, nie przecząc niczemu, nie chciał dać żadnych wyjaśnień. Wyszukali także natychmiast przy ulicy Boissy d'Anglas cudzoziemskiego miljonera, który okazywał straszne o urzenie z powodu niedyskrecji przyjaciela młodego sportsmana. Dziennikarze wysnuli z tego milczenia, iż przyjaciel Cartelegue'a mówił prawdę. Wkrótce potem zakomunikowano znowu prasie przez telefon nazwiska świadków, miejsce, a także dzień i godzinę spotkania. Ponadto podano także bliższe szczegóły, odnoszące się do Karola Turnera. Pisano, iż gentleman ten należy do jednej z najstarszych i najszlachetniejszych rodzin angielskich, że osiadł w Australji i tam na wyrobie czekolady dorobił się miljonowego majątku, dodawano przytem, iż obecną podróż swą po Europie przedsięwziął w celu założenia trustu czekoladowego. Szczególniej szeroko rozpisywały się o tem wieczorne gazety.

Reporterzy, nie mogąc interwiewować przeciwników przed końcem walki, zasypywali ich teraz gradem zapytań. Piotr uchylił się od dawania odpowiedzi i skierował się pośpiesznie do wyjścia, przed którem czekał na niego jego samochód. Karol Turner okazał się przystępniejszym i uśmiechnięty, stał otoczony rojem dziennikarzy.

— Tak, proszę panów — odpowiadał — miała nastąpić czterokrotna wymiana kul... Zdaje mi się, że i pan Cartelegue tego chciał... Nie długo jednak widocznie obstawał przy tym zamiarze, gdyż jego świadkowie nie wspominali wcale o tem...

— A pan? Czy prosił pan swych świadków, by nie zgadzali się na tak ciężkie warunki?

— Owszem.

— Ach! ach! — ktoś szepnął.

— Tak! — potwierdził Panajon. — Nie chciałem się zgodzić na dwukrotną wymianę na piętnaście kroków, czego pragnął pan Cartelegue i nie przystałem nawet na jeden strzał na dwadzieścia kroków, jak domagał się tego w ostateczności mój przeciwnik...

— Och, och! — szepnął ktoś drugi.

Reporterzy zapisywali szybko te szczegóły. Markiz de Bandricour i młody Garrigue odsunięci na bok przez dziennikarzy, oburzali się, słuchając tych wyjaśnień.

— Przecież on nie powinien poddawać się tym interwiewom — rzekł markiz półgłosem. Jest to zupełnie niewłaściwe.

— Widocznie takie zwyczaje panują w Australji — odezwał się Garrigue — Interwiewowanie praktykuje się daleko częściej w krajach anglo-saksońskich, niż we Francji... Drażni mnie jednak najbardziej to wychwalanie się jego własnem tchórzostwem.. Co za głupiec! Wstyd nam wczoraj było, gdy stawiał warunki, przy których marzyć nawet nie można było o trafieniu... A dzisiaj wyznaje to publicznie, choć nikt go o to nie pyta... Chełpi się tem!... Duret powierzył nam honor jakiejś podejrzanej osobistości.

— Trzeba go skłonić do milczenia...

— Za późno!... Cóż on może powiedzieć więcej?...

Panajon jednak nie skończył jeszcze wszystkiego.

— Panowie pojmują — ciągnął dalej — że nie miałem najmniejszego zamiaru ani chęci podstawiać się pod lufę pistoletu pana Cartelegue'a..

— Co on gada! — szepnął markiz do Garrigue'a. — Słyszy go pan?

— Osz! at chyba ze strachu?

— Okrywa nas śmiesznością.

— Jaki nietakt!

— A raczej jaki cynizm!

Jeden ze słuchaczów Panajona zauważył:

— Dwadzieścia kroków przestrzeni nie świadczy o podstawianiu się...

— To nic nie znaczy! — odparł fałszywy Australczyk. — Na takiej przestrzeni przeciwnik mógł mnie trafić i aby uniknąć tego musiałbym strzelać pierwszy zaraz po sygnale i raniłbym go ciężko.. Nigdybym nie mógł sobie tego darować... Mimo wszystko młodzieniec ten jest bardzo sympatyczny..

Rozległy się przytłumione śmiechy i ironiczne zdania.

— To bardzo piękne!

— Podobna przezorność przynosi tylko zaszczyt.

— A więc starał się pan oddzielić się od swego przeciwnika jak największą przestrzenią, by go nie trafić przypadkiem?

— Lecz czy jest pan pewny, że trafiłby go pan zaraz po komendzie? Trzeba być bardzo wprawnym, by strzelać dobrze bez mierzenia.

Panajon spojrzał na tego, kto wątpił o jego zręczności i rzekł spokojnie:

— Naturalnie! Mam też dobre oczy.

I odsuwając się od zgrupowanych dokoła siebie ludzi, podszedł do leżącego na gazonie pudełka. Nachylił się, otworzył je i wyjął z niego jeden z pistoletów, kupionych przedniego dnia do pojedynku. Były nabite. Pistolety, użyte do walki należały do Piotra Cartelegue'a, gdyż przy losowaniu wyciągnięto jego nazwisko.

— Proszę panów! — odezwał się Panajon. Spojrzał dokoła po welodromie i rzekł:

— Widzą panowie nad ławkami tę wielką tablicę, na której wypisano właśnie „automobile Cartelegue"? Co panowie powiedzą o kropce nad *i*? Zdaje mi się, że mniejszą jest, niż człowiek, a więcej jest do niej, niż dwadzieścia kroków?

Rzeczywiście w odległości stu metrów znajdował się wielki afisz, na którym kropka nad *i* nie była większą od pięciofrankowej monety. Była zaledwie widoczną. Panajon nie skończył jeszcze mówić, gdy jednocześnie podniósł szybko rękę i nacisnął kurek. Ruch ten trwał zaledwie mgnienie oka. Natychmiast rozległ się strzał.

Jednocześnie wszyscy krzyknęli zdumieni. Wiele osób przybyłych z lornetkami zwróciło je zaraz na afisz i przekonało się, że kropka nad i została trafiona w sam środek. Reporterzy pobiegli zaraz z nastawionymi aparatami, by uwiecznić w swych dziennikach ten sławny przez to punkt. Wszyscy go podziwiali. Garrigue i markiz zamienili z sobą spojrzenia i podeszli szybko do swego klijenta. Lornetki przechodziły z rąk do rąk przy głośnych objawach zachwytu.

— Nie zawódł!

— W sam środek!

— Nawet sławny Buffalo, od którego nazwano ten welodrom, nie strzela lepiej.

— Nie lepiej? Nie tak dobrze.

— W rękach swych miał życie Cartelegue'a.

— Do licha! Mógł wybrać sobie na nim miejsce, gdzie trafić, między oczy, albo w serce.

— Tak dobrze na odległość dwustu metrów, jak i trzydziestu kroków.

— I obrócony plecami, mierząc przy pomocy lustra, jak to widziałem w music-hall, gdzie popisywał się jakiś amerykański strzelec.

— Cartelegue będzie wściekły, gdy się dowie, że przeciwnik jego chybił umyślnie.

— Wściekły lub też wzruszony tem.

Tymczasem król stu dwudziestu koni nie domyślając się nawet, co się dzieje jeszcze w welodromie, wyszedł z niego w towarzystwie Lewisa Jacksona, Joego Smitha i swych świadków, Maurycego de Terrade i jednego ze swych przyjaciół, znanego sportsmena awiacyjnego. Amerykanin opierał się na ramieniu swego sekretarza; głowę miał opasaną bandażem.

— Mój drogi — rzekł awiator do Piotra — wybaczysz mi, lecz muszę cię pożegnać. Mam rendez vous w Issy les Moulineaux.. Uciekam... Do widzenia...

I wsiadł do swego samochodu.

— Proszę poczekać na mnie chwilkę — rzekł również i Maurycy — mam do powiedzenia dwa tylko słowa pewnej osobie, która oczekuje z drugiej strony welodromu... Zaraz powrócę...

Inżynier pobiegł szybko dokoła ogrodzenia i skręcił na ulicę Villiers, gdzie stała dorożka. Kamilla ukryła się w tym skromnym pojeździe. Panna de Lagunin umierała z obawy, gdy się dowiedziała o zajściu między Piotrem a Ausralczykiem. Drżała o życie swego przyjaciela. Trwoga jej jednak nie zabijała odwagi. Młoda panna pragnęła być obecną przy walce, lub przynajmniej znajdować się w pobliżu miejsca spotkania. Chciała być przy Piotrze, gdyby on został śmiertelnie raniony.

Baronowa uznała to za śmieszną, romantyczną fantazję i kazała córce pozostać w domu.

Kamilla wiedząc, że woli matki nie przełamie, nie nalegała, lecz w dzień pojedynku wymknęła się z mieszkania, prosząc przedtem telefonicznie Maurycego, by przyszedł na ulicę Villiers oznajmić jej o wyniku walki.

„Jak ona go kocha", myślał ze smutkiem inżynier, spiesząc do dorożki, w której oknie ujrzał bladą z trwogi swą ukochaną.

Zrobił uspokajający ruch ręką, po którym jasna głowa Kamilli zniknęła. Młoda panna wybuchła płaczem. Radość po tem długiem, męczącem czekaniu była zbyt gwałtowna i silna, by mogła nad nią zapanować.

Maurycy zbliżył się do dwziczek. Kamilla cała zapłakana wyciągnęła do niego ręce.

— Nic mu się nie stało?... — wyszeptała.

— Nic!

— A jego przeciwnikowi?

— Również nic!

— Ach, mój przyjacielu!

W czasie tej rozmowy nie wypuszczała z swych rąk dłoni Maurycego. Inżynier bardzo tem zmieszany, odsunął się cokolwiek, mówiąc:

— A teraz pójdę uprzedzić Piotra, iż narzeczona jego jest już uspokojona.

Radość dodaje odwagi. Kamilla czuła się obecnie tak szczęśliwą, iż uśmiechając się wśród łez, ośmieliła się zaprzeczyć:

— Ależ ja nie jestem narzeczoną Piotra.

Maurycemu zdawało się, że źle słyszy.

— Chyba — mówiła dalej młoda panna — tylko w oczach świata... Uznaliśmy razem z Piotrem i postanowiliśmy wyznać całą prawdę swym rodzicom, że nasza wzajemna przyjaźń jest bardzo głęboką i stała, lecz niema w niej nawet cienia miłości...

Serce Maurycego zaczęło bić silnie.

— Ach! — szepnął — nigdy tego nie przypuszczałem.

Zdanie to, które wymówił bezwiednie, aby powiedzieć cośkolwiek, nie miało żadnego znaczenia, nadawało mu je dopiero drżenie głosu inżyniera. Teraz i serce Kamilli zaczęło bić nie mniej silnie. Maurycy de Terrade był właśnie tym, czyje imię ukrywała przed Piotrem, nie wiedząc, czy człowiek tak zimny i tak przejęty swoimi obowiązkami, odczuje jej miłość. I oto w chwili tej inżynier mówiąc do niej, drży ze wzruszenia, a twarz jego, zazwyczaj obojętna, wyraża jakieś niespodziewane wrażenie... Czyż on kocha?... Ta druga radość, która nastąpiła zaraz po pierwszej, omal nie przyprawiła Kamilli o zemdlenie. Młoda panna opanowała się jednak i z doznanego szczęścia czerpiąc nową odwagę, rzekła:

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnicze oczy.

(Powieść na tle notatek amerykańskich dedektywów).

11

Potem położył wszystko na właściwem miejscu, szafkę zamknął, a otwierał po kolei stoliki, komody, szafy, kuferki. Zaglądał ciekawie za obrazy, za zwierciadła, nie pominął żadnego sprzętu, badał wszystkie meble, wreszcie dostrzegł w kącie elegancki kufer. Zamknięty był na trzy zamki. Otworzywszy kufer, znalazł tu wąską szkatułkę, pokrytą skórką marokańską i dwa cienkie pakieciki. Przypatrzywszy się temu, schował jedno i drugie do kieszeni płaszcza.

Teraz ponownie zajrzał do kufra i spostrzegł czarną torebkę podróżną. Była zamknięta; szczęśliwie dobrał klucz do niej i otworzył. O mało nie krzyknął z radości. Zabrał ją również ze sobą i wyszedł ze zdobyczą.

W pół godziny wrócił i wszystko tak poukładał i na właściwem miejscu, żeby najmniejszy ślad nie pozostał, że tu coś ruszano. Włożył klucze pod poduszkę śpiącej i zniknął.

Zaczęło świtać. Laura zbudziła się z głębokiego snu. Była widać czemś zaniepokojona, bo wstała prędko, ubrała się i niecierpliwie chodziła po pokoju.

— Co czynić? — szeptała do siebie — dowierzać jej nie mogę. Bądź co bądź, mógłby mnie zgubić. To, co mi wczoraj powiedziała, jest bardzo niebezpieczne. Najlepiej będzie, jeżeli to wszystko wrzucę do wody. Czas ostateczny. Dowierzać jej nie mogę.

Wzięła klucze z pod poduszki, otworzyła kufer, wyjęła ową czarną torebkę podróżną, którą się tak bardzo zagadkowy złodziej ucieszył, ukryła ją pod zarzutką i wyszła z domu.

Nikt jej nie widział z domowników, bo służba jeszcze spała, a bramę otworzyła sobie kluczem własnym.

Na ulicy było jeszcze zupełnie pusto; Laura zdążała prędko i nie zwróciła na to uwagi, że ktoś szedł za nią o kilkanaście kroków. Zbliżywszy się do mostu rzuciła prędko do wody wyjętą z pod zarzutki torebkę podróżą. Zatrzymała się chwilę na moście, czekając, rychło torebka zatonie, poczem wróciła do domu. Teraz już nikt za nią nie postępował.

XXIV.
BAL MASKOWY.

Panna Harris oburzyła się niezmiernie na Kubańczyka. Poszła według adresu, który jej podał, do owych śpiewaczek angażowanych do Hawanny, lecz przekonała się, że daremnie straciła kilka godzin czasu, bo nigdzie takich kandydatek do sceny nie było. Nie mogła pojąć co to znaczyło? Albo Kubańczyk pomylił się w adresie, albo też owe śpiewaczki z niego sobie zażartowały. Oczywiście, że ani na chwilę nie domyślała się ona całej prawdy.

Wróciwszy do mieszkania fałszywej siostry Kubańczyka, spostrzegła list do siebie adresowany, założony za klamkę. Otworzyła go z największą niecierpliwością i przeczytała co następuje:

„Łaskawa pani!

Człowiek, który się pani przedstawił jako Senor Castro, Kubańczyk i dyrektor teatru w Hawannie, jest nikczemnym człowiekiem i zwykłym oszustem. Zwabił panią i pani uczennicę do tego mieszkania, ażeby nieszczęśliwą dziewczynę dostać w swoje ręce. Dlatego też wyprawił panią z domu do nie istniejących wcale śpiewaczek, aby mógł bez przeszkody i bez świadków znęcać się nad bezbronną dziewczyną.

Byłby ją udusił, gdybym w samą porę na pomoc nie pospieszył.

Niechże mu pani żadnej nie użyczy pomocy

Ajent policji".

Śpiewaczka przeraziła się tym listem, a jeszcze bardziej oburzyła na zuchwalca, który wywiódł ją w pole. Ostrożnie i cicho wsunęła się do pokoju Leonory. Zaledwie drzwi otworzyła, usłyszała głos Bradmardina:

— Napadnięto mię, pomocy! proszę poprzecinać sznury!

W pierwszej chwili ogarnęło śpiewaczkę jakieś niedowierzenie do listu, który otrzymała. A może istotnie sennora Castro napadli złodzieje, obrabowali go i związali potem, ażeby utrudnić pościg za sobą. Przypatrzyła się skrępowanemu i przez chwilę namyślała, co robić. Przypomniawszy sobie sprawę śpiewaczek, których nigdzie nie było, wpadła na pomysł, aby rzecz sobie wyjaśnić pytaniem o nie.

— A jakiż to pan podałeś adres? Pod tym adresem nietylko nie mieszkają wcale śpiewaczki, ale nawet domu takiego niema — spytała panna Harris.

— Nie nudź mię pani temi głupstwami; zapłaciłem pani za to, a i teraz jeszcze zapłacę, jeżeli mi pani pomożesz uwolnić się z tych więzów.

Taka odpowiedź przekonała śpiewaczkę, że list zawierał treść rzetelną. Wtedy nie krępowała się już niczem i bez litości znęcała się nad oszustem:

— I któż to pana napadł? Może tacy sami Kubańczycy, jak i pan? Dlaczego wcisnąłeś się do mojego domu, niegodziwy oszuście? Po coś się tu wdarł do pokoju mojej uczennicy?

— Daj pani pokój tej głupiej paplaninie, zapłacę ci, ile zechcesz, tylko mi pomóż, abym się stąd czemprędzej wydobył.

— O, mój szanowny panie Castro, dyrektorze teatru z Hawanny, wiedz o tem że ja od oszustów pieniędzy nie przyjmuję. A teraz rozmyślaj sobie, sennor Castro nad tem, że Bóg czuwa nad sierotami i użycza im pomocy i ochrony przed takimi łotrzykami. Bądź pan zdrów!

Zaśmiała się szyderczo, pozbierała swoje rzeczy i wyszła.

Bradmardine pienił się ze złości; liczył na pewne na to, że panna Harris wróciwszy, wyzwoli go z więzów; tymczasem nietylko mu nie pomogła, ale i to na nic się nie zdało. Zapomniał, że umyślnie wynajął mieszkanie na piętrze zupełnie pustem, ażeby mu nikt w napadzie na Leonorę nie przeszkodził i aby nikt nie usłyszał jej głosu, gdyby o pomoc wołała.

Teraz sam wpadł w te sidła, które na nią nastawił.

Dopiero około godziny 9-ej wieczorem otrzymała straż policyjna kartkę od Stuarta:

„W domu. Wood Street Nr. 8, leży na pierwszem piętrze człowiek skrępowany na rękach i nogach. Jest to wprawdzie niebezpieczny drab, ale na razie można go oswobodzić i puścić".

Dzięki tej karteczce uwolnił się wreszcie Jason Bradmardine od tej srogiej pokuty. Przeleżał dwanaście godzin bez ruchu, na twardej posadzce, skrępowany, oczywiście wygłodniały; więc też poprzysiągł straszną zemstę sprawcy tej pokuty. Przez całą noc mimo umęczenia knuł rozm ite plany.

W pierwszych dniach po tej przygodzie zabrał się z zadziwiającą gorliwością do rozczytywania się we wszystkich dziennikach, które jakiekolwiek wiadomości o arteveldtowskiej tragedji podawały. Najgorliwszy badacz, najsumienniejszy uczony nie mógł bardziej wyczerpać materjału. Skoro całą sprawę poznał najdokładniej, postanowił zemsty dokonać.

Jakoż pewnego dnia przybył do pani Arteveldt z oznajmieniem, że chce z nią pomówić o sprawie nader ważnej. Przyjęła go, a widać umiał ją zaciekawić, skoro go nietylko u siebie przez całą go zinę zatrzymała, ale nawet potem codzień do niej przychodził.

W kilka dni potem zjawił się w domu pani Arteveldt inny nieznajomy, który pragnął pomówić z panną Kate Scaton, czuwającą wciąż jeszcze jak anioł opiekuńczy nad nieszczęśliwą matką zamordowanego młodzieńca.

Gdy go przyjęła, wręczył jej list następującej treści:

„Oddawcą jest Francis Ferrars, mój przyjaciel i najgorliwszy, najszczerszy obrońca panny L. Ponieważ przybyć nie mogę, przez niego upraszam o wyświadczenie mi wielkiej przysługi. Bardzo mi na tem zależy, abym mógł otrzymać klucze zamkniętego domu A teveldta. Potrzebuje ich niezmiernie mój przyjaciel Stuart, również najgorliwszy obrońca i najszczerszy przyjaciel p. L. Proszę tak z kluczami po tapić, aby p. Arteveldt o niczem nie wiedziała. W końcu dzielę się z panią miłą wiadomością, że panna L. jest zupełnie bezpieczna. Pełen poważania i przyjaźni

Robert Jocellyn".

Przeczytawszy ten list podała Kate rękę przyjacielowi Jocellyna i rzekła:

— Pan Jocellyn nadmienia w tym liście, że pan jest przyjacielem Leonory Armyn. Czy zdrowa?

— Nietylko zdrowa, ale zupełnie zadowolona, spokojna i zdaje mi się, że zupełnie szczęśliwa.

— A więc jest tutaj, nie wyjechała?

— Tak pani i wyjeżdżać nie potrzebuje, bo wkrótce doczeka się i zupełnej niezawisłości i tego wszystkiego, co jej się z prawa od dawna należy.

— Zaciekawia mnie pan. Cóż to takiego.

— Jeszcze nie pora o tem mówić. Pani najpierwsza dowie się o wszystkiem, jako najwierniejsza przyjaciółka.

— A więc będę cierpliwą. Korzystam ze sposobności, że pana widzę i proszę o doniesienie panu Stuartowi, że się tu przygotowuje coś zgubnego dla Leonory. Chciałam to opowiedzieć panu Stuartowi, ale skoro pan Jocellyn nadmienia, że pan jest wiernym przyjacielem Leonory, pragnę panu to opowiedzieć czemprędzej, bo zdaje mi się, że na czasie zależy. Oto opowiadała mi pani Arteveldt, że przyszył do niej jakiś pan i przedstawił się jako ajent policji angielskiej wysłany do ścigania kobiety, która sfałszowała testament i uciekła z Anglji. Kobieta ta umarła wprawdzie, ale sfałszowany testament przechowuje teraz jej córka, mianowicie Leonora Armyn. Już trzy razy ją pochwycił, ale za każdym razem przeszkodził mu w zatrzymaniu dziewczyny jakiś młody człowiek, który udaje ajenta policyjnego.

Dowiedziawszy się, że ów młody człowiek łudzi panią Arteveldt, przyrzekając pochwycenie morderczyni jej syna, uważał za konieczne ostrzedz ją i poprosić, aby mu ułatwiła spotkanie się z tym fałszywym ajentem policyjnym. Nieszczęśliwa kobieta, złamana zupełnie boleścią po stracie jedynaka, uwierzyła we wszystko i obdarzała nieznajomego jak największem zaufaniem. Dopiero, gdy zbyt często i zbyt natrętnie przychodził, zaufanie pani Arteveldt cokolwiek ostabło. Zdaje mi się, że ten nieznajomy knuje coś przeciwko panu Stuartowi.

— Dziękuję pani za te wiadomości; są one bardzo ważne. Czy pani widziała tego nieznajomego?

— Starałam mu się przypatrzeć jaknajdokładniej.

— Czy mogła by go pani opisać?

— I owszem.

Kate Scaton tak dokładnie opisała nieznajomego, że Francis Ferrars poznał w nim odrazu Jasona Bradmardine.

— Ten człowiek jest zaciętym prześladowcą panny Leonory; czyha na jej życie, bo chciałby jej wydrzeć miljonowy majątek, który na nią spadnie dziedzictwem.

Kate Scaton osłupiała.

Leonora Armyn, jej przyjaciółka, córka niezbyt zamożnej wdowy, ma być dziedziczką miljonowego majątku! Zacna dziewczyna uradowała się niezmiernie, a niemniej też i zaciekawiła i zaczęła gorączkowo zasypywać Ferrersa pytaniami.

— Już wkrótce dowie się pani o wszystkiem, tylko cierpliwości. A teraz, czy mogę liczyć na to, że otrzymamy klucze?

— Postaram się o nie do jutra rana.

— Gdzież się mogę po nie zgłosić?

— Codziennie rano wychodzę na przechadzkę, więc jutro o dziewiątej niech pan czeka na mnie na Avenue Lincoln.

— Dziękuję już z góry imieniem mego przyjaciela Jocellyna.

— A cóż będzie z tym niebezpiecznym nieznajomym?

— Już przestał być niebezpiecznym z chwilą, gdy mi pani o nim powiedziała — rzekł uśmiechając się Ferrars i pożegnał się uprzejmie.

Wieczorem tego samego dnia był w klubie ów bal maskowy, na który to Nelly Brown Laurę Durand namówiła.

Tłok był wielki, wszystkie sale przepełnione, kostjumy bardzo rozmaite, przeważnie drogie, wspaniałe, ale nie brakło też i takich, które wymyśliła prawdziwie artystyczna fantazja.

Pośród tłumu krążyły dwie arabki, lśniące cennymi klejnotami.

Jedna z nich zwracała uwagę nietylko drogocennem ubraniem, ale i niezwykłym spojrzeniem. Miała oczy tak niepospolite, tyle w nich było demonicznej siły, tyle wyzywającej śmia-

łości, a przy tem kiedy niekiedy taki połysk kokieteryjno-ujmujący, że kto raz je zobaczył, już ich nie zapomniał.

Z tłumu wysunął się rycerz średniowieczny, w towarzystwie zgrabnego pazia i stanął przed filarem, koło którego usiadły arabki. Wpatrywał się wnie z wielką uwagą, dobył nieznacznie kawałek kartonu, przypatrzył mu się i kilka razy rzucił okiem to na karton, to na arabkę z niezwykłemi oczyma. Przyłączył się do nich cygan, pokornie ukłonił się rycerzowi i spytał po cichu pazia:

— Poznałeś ją?

— Poznałem wszystkie trzy.

— Trzy? Wszakże są tylko dwie.

— Chodźcie; już obserwują nas i mogą się domyślać — rzekł paź. — Możemy już swobodnie wyjść z balu, ale nie wchodźmy razem, czekam was za pół godziny u siebie.

Na balu szumiało jeszcze wszystko, huczało.

W pół godziny potem w mieszkaniu Stuarta zjawili się Jocellym i Ferrars.

— Powiedźże teraz mój paziu — rzekł Ferrars do Stuarta — kto to jest ta trzecia?

— Włóczęgo cyganie, proś rycerza Jocellyna, niech ci rzecz wyjaśni, boć przecie z fotografją w ręku sprawdzał moje odkrycie.

— Zagadki, same tylko zagadki — mówił Ferrars.

— W jednej i tej samej osobie odkrył ten wiercipięta, mój paź, nie tylko pannę Laurę Durand, ale i Elizę Szwartz. Mówże sam mój paziu — rzekł Jocellyn.

— Laura Durand chciała zgubić swą dawną towarzyszkę, Nelly Brown i dlatego nadskakiwała mi bardzo i tak od niechcenia podała adres mieszkania, które od dłuższego czasu interesowało Jocellyna, jako specjalistę. W tem mieszkaniu jest pensjon pani Rogers. Panna Brown, znana już dama z opałami postanowiła pozbyć się swej dawnej przyjaciółki Laury i dlatego namówiła ją na ten bal maskowy. A dla czego? Oto, że oczy w oprawie maski dokładniej się uwydatniają, więc łatwiej je porównać z fotografją. Obserwacja potwierdziła stanowczo, że Arabka z dziwnemi oczyma jest to poszukiwana morderczyni męża, Eliza Szwartz. Że zaś ową Arabką jest zarazem panna Durand, więc Eliza Szwartz i panna Durand są jedną i tą samą osobą. Ale w tej osobie tkwi jeszcze morderczyni Arteveldta, bo Eliza Szwartz, czyli panna Durand z mordowała Arteveldta, o czem przekonał się najdokładniej jej bratanek pana Duranda, pan Artur Durand, który się wam w tej chwili w mojej osobie przedstawi.

Jocellyn i Ferrars równocześnie prawie wyciągnęli rękę ku Stuartowi do serdecznego uścisku.

— A więc niedługo będzie już epilog całego dramatu — rzekł Jocellyn. — Andę się pochwyci, morderczynię odda w ręce sądu; Leonora Armyn będzie od wszelkich podejrzeń uwolniona. Ciężka była praca, a największa zasługa Stuarta. Dzielny z ciebie chłopiec!

W godzinę potem otrzymał Durand krótką depeszę: „Wracajcie".

XXV.

FAŁSZERZE MONET.

Do pensjonatu pani Rogers przybył przed wieczorem handlarz obrazów, zaznajomiwszy się przed kilku dniami z kucharką.

Przyjęła go w swoim pokoiku przy kuchni bardzo gościnnie, a widać musiały się jej obrazy bardzo podobać, skoro go w tajemnicy przed panią zatrzymała do późnej godziny. Tymczasem minęła już godzina jedenasta w nocy, pani Rogers sama obeszła wszystkie korytarze w domu, sama zamknęła drzwi od ulicy i udała się na spoczynek do swojego pokoju.

Handlarz obrazów nie mógł już wyjść na ulicę, więc kucharka wskazała mu mały pokoik na piętrze, przytykający do oszklonego ganku, łączącego pensjonat z domem, w którym zamordowano Arteveldta. Był to pokoik mały, niepozorny, przeznaczony prawdopodobnie dla służby. Handlarz obrazów zamknął się w nim, ale spać się nie położył, tylko co chwilę spoglądał na zegarek, posługując się krytą latarką.

Gdy uderzyła dwunasta, handlarz obrazów otworzył ostrożnie drzwi swego pokoiku, przeszedł przez szklanny ganek i dobywszy z kieszeni klucza, otworzył nim drzwi, wiodące do willi Arteveldta.

W tej samej chwili stanęło na ulicy sześciu mężczyzn. Czterej z trzymali się u wejścia do pensjonatu, a dwaj otworzyli willę Arteveldta i ostrożnie, po cichu udali się na pierwsze piętro, a stamtąd korytarzem do owego szklannego ganku, który handlarz z obrazów przed chwilą otworzył.

— Gotowe? — spytał jeden z przybyłych handlarza obrazów.

— Chodźcie, wszyscy przy robocie.

Cicho, ostrożnie postępowali, wiedzeni przez handlarza obrazów, aż znaleźli się w bocznym krętym korytarzu. Wisiała tu szeroka opona, z ciężkiej grubej tkaniny. Wsunęli się tam poza nią wszyscy trzej i zatrzymali przed drzwiami, przez które dochodził stłumiony odgłos cichej rozmowy i brzęku metali. Handlarz obrazów chwycił nagle za klamkę i drzwi prędko otworzył. Wszyscy trzej weszli prawie równocześnie, trzymając rewolwery w ręce.

Za stołem siedziało sześciu mężczyzn i jedna kobieta. Na stole płyty, stemple i wszelkiego rodzaju przyrządy, któremi się fałszerze monet posługują. Pięciu mężczyzn zajętych było fałszowaniem monet i banknotów, a szósty z kobietą obliczał je, układał i porządkował.

Na widok przybyłych, fałszerze wydali okrzyk wściekłości i sięgnęli po broń, ale zanim ją uchwycić zdołali, już rewolwery przybyłych opierały się o ich piersi.

— Poddajcie się! dom otoczony, ani jeden z was nie ujdzie. Przy najmniejszym oporze wystrzelamy was wszystkich. W imieniu prawa wzywam raz jeszcze: ręce do góry! — rzekł jeden z przybyłych tonem groźnym i stanowczym.

Był to Jocellyn, który tu przybył w towarzystwie Stuarta, a owym handlarzem obrazów był Ferrars.

Przez chwilę trwało grobowe milczenie; fałszerze widocznie wahali się, co czynić. Kobieta chwyciła nagle rewolwer i skierowała go na Jocellyna, ale nim zdążyła pociągnąć za cyngiel, już ją uchwycił Ferrars silną dłonią jak kleszczami, wywołał rewolwer z ręki wyrwał i zawołał:

— Ellen Pomeroy!

Śmiertelna bladość pokryła twarz kobiety, nogi się pod nią zatrzęsły, z przerażeniem spoglądała na Ferrarsa.

— Cóż to pani się stało, panno Nelly Brown? — zapytał wesoło Stuart, ale oczywiście nie otrzymał odpowiedzi, zwłaszcza, że nie było na nią czasu, bo Ferrars mówił dalej.

— Ellen Pomeroy jest sławna z tego, że umie zabijać ajentów policyjnych, ale tym razem już się to nie uda. Postąp pani ku mnie; ręce do góry. Nie spodziewałaś się, że cię tu odkryją. Wiesz, jaka kara w Anglji cię czeka?

Tak była zaskoczona niespodziewanem odkryciem, że popadła w jakąś bezwładność i nie opierała się wcale, gdy jej ręce wiązano.

— Cóż panie Fergus? — rzekł Jocellyn zwracając się do mężczyzny, który fałszywe banknoty porządkował — nie jest dobry koniec tej zabawki?

W tej chwili Fergus sięgnął ręką do kieszeni dobył coś i połknął, a równocześnie jeden z pięciu, co monety wyrabiali, murzyn z iskrzącemi oczyma, rzucił się z tygrysią szybkością na Stuarta i chwycił go żylastą ręką jak kleszczami, za gardło.

Zanim atoli ścisnąć je zdołał, już go Jocellyn chwycił za kołnierz i silnem uderzeniem na ziemię powalił tak, że padł bez przytomności.

Fergus zmienił się prędko na twarzy, blady, siniał, piana na ustach mu wystąpiła, widocznie zażył truciznę.

Jocellyn dopadł najbliższego okna, dał znak gwizdawką straży policyjnej na ulicy pozostałej. Trzech strażników przybyło, czwarty pospieszył po lekarza. Fałszerzy wzięto pod straż; niedługo przybył i lekarz, zadał Fergusowi antidotum i kazał go przewieść do szpitala, wyraziwszy nadzieję, że mu życie ocalić będzie można.

Podczas tego gdy lekarz zajmował się Fergusem, Stuart zbliżył się do Nelly Brown, czyli właściwie Ellen Pomeroy i rzekł do niej spokojnie, patrząc bystro w oczy:

— Zostałaś pani uwięziona za udział w fałszerstwie monet, ale jesteś obwinioną o zbrodnię jeszcze cięższą.

— O jaką? — zapytała nieśmiało.

— Obwinioną pani jesteś o udział w morderstwie Arteveldta i w okradzeniu pana Duranda.

— Ja? Kto mnie obwinia?

— Własna przyjaciółka pani, panna Durand.

— Laura Durand? Ona się na to odważa?

— O! Ona się odważyła na większe rzeczy! Ale o tem potem, a tymczasem proszę mi powiedzieć, czy pani zechce wyznać wszystko dokładnie, jakie to stosunki was połączyły i jakie rozdzieliły?

Nelly Brown, czyli właściwie Ellen Pomeroy, milczała i widać było, że odzyskuje panowanie nad sobą i właściwie sobie zuchwałość.

— Proszę się długo nie namyślać panno Nelly Brown — wtrącił Ferrars — bo opowiedziałbym tu przy świadkach takie rzeczy o pani Ellen Pomerov, że musiałabyś natychmiast być odesłaną do Anglji i tam postawioną przed sądem. A kodeks angielski wyznacza za takie sprawy karę śmierci.

— Jeżeli ja mam być wywiezioną do Anglji, to cóż dopiero stanie się z tak zwaną Laurą Durand?

— Morderczyni Arteveldta zostanie uwięziona i stawiona przed sadem — odpowiedział Stuart.

A więc przecie! O! powiem, powiem wszystko, aby ta dumna, bezczelna, musi ta tarzać się w prochu — mówiła z ożywieniem Nelly.

— Opowiedz to pani wszystko w obecności świadków.

Uwięzionych fałszerzy monet odprowadzono do więzienia, tak zwany pensjonat pani Rogers opieczętowano i otoczono strażą.

XXVI.

U DRA HALE.

W jednym z hoteli zajął skromne mieszkanie Durand, przybywszy na depeszę Stuarta. Uwiadomiony o tem przez posłańca pospieszył Stuart do hotelu.

— Jestem punktualny, nieprawda? — rzekł Durand, witając się ze Stuartem. — W jakiem stadjum znajduje się cała sprawa?

— W zupełnie właściwem — odpowiedział Stuart. — Jakże się ma żona pańska?

— Ach, panie kochany, jabym tę nędznicę, co mi żonę otruć chciała, na szubienicy chciał widzieć. Wyobraź pan sobie, że ta niegodziwa jeszcze w ostatniej chwili czyhała na życie swojej dobrodziejki. Jakoś czwartego dnia po naszym wyjeździe moja biedna żona nagle ciężko zachorowała. Wyglądało to na chorobę żołądkową; posłałem natychmiast po lekarza, a tymczasem pytałem się pokojówki, czy moja żona nie zjadła czegoś niezdrowego. Dowiedziałem się, że nie jadła nic takiego, tylko piła wino z domu przywiezione, a zapakowane przez Laurę. Dowiedziałem się też, że Laura kazała to wino podawać mej żonie, mówiąc, że jest bardzo zdrowe i pokrzepiające i że moja żona z upodobaniem je pije. Pokazało się, że to było wino zatrute. Co to za niegodziwa istota! Wyobrażenia nie miałem, ażeby tyle fałszu, obłudy, tyle zarazem bezczelnej zuchwałości mogło się skojarzyć w jednym człowieku i do tego jeszcze w tak młodej kobiecie! A czy pan już dociekłeś wszystkiego? czy masz już dowód tawę do oddania jej sądowi?

— Cały węzeł tej sprawy mam w ręce i wkrótce już zakończy się ten dramat. Dziś muszę być u adwokata pani Arteveldt, dra Hale. Niech pan potrudzi się ze mną, aby usłyszeć bardzo wiele rzeczy ciekawych, a nawet dla pana zupełnie niespodziewanych.

— Jestem gotów nawet zaraz udać się z panem, bo przyznam się szczerze, że mnie to wszystko tak przygnębia, tak rozstraja, że radbym już jaknajprędzej doczekać się końca.

Udali się do dra Hale, gdzie się już Ferrars znajdował.

Po przywitaniu powiedział Stuart z właściwą sobie swobodą:

— A więc udało nam się wreszcie znaleść Leonorę Armyn.

— Przecież będzie można wymierzyć należytą karę morderczyni Franka Arteveldta — rzekł dr. Hale.

— O tak, niezawodnie. Morderczyni Arteveldta będzie ukaraną, a Leonora Armyn uwolnioną od krzywdzących ją podejrzeń.

— Co pan mówi? — zawołał dr. Hale zdumiony i wpatrzył się w Stuarta, jakby mu to, co teraz słyszał, wydało się snem, albo niewczesnym żartem.

— Tak, panie doktorze, Leonora Arnym jest równie niewinną morderstwa Franka, jak i my obaj.

— Ależ takie wyraźne poszlaki!

Oparte na płytkich pozorach, a nie na głębszem zbadaniu natury psychicznej mniemanego złoczyńcy.

— Więc któż jest tym zbrodniarzem?

— Zaraz opowiem. Prosze o cierpliwość, bo rzecz długa: Po owej nieszczęsnej nocy wszyscy uparli się posądzać Leonorę Armyn o spełnienie morderstwa. Muszę tu powiedzieć z wielkiem zadowoleniem, że ja jeden nie podzielałem tej opinji. Panny Leonory Armyn nie znałem wcale, nie widziałem nawet, ale i z opowiadań i ze sposobu jej postępowania przekonałem się, że to osoba uczciwa, dzielna, szczera, odważna. Już to samo, że tak bardzo odczuła wyrządzoną sobie przez Arteveldta zniewagę, wskazuje jasno, że do czynu skrytego, podstępnego nie byłaby zdolną. Mógbym raczej w to uwierzyć, że mogłaby jawnie, bez trwogi, w uniesieniu gniewu zastrzelić kogoś, a może i zasztyletować, ale nie uczyniłaby tego skrycie, z rozmysłem, w sposób zdradziecki.

Czytałem jej listy pisane do przyjaciółki i te najwyraźniej świadczyły, że Leonora Armyn ma charakter szlachetny, nawet wzniosły. Jest w jej naturze bardzo wiele owej szlachetnej dumy, która bywa zwykle najdzielniejszym sprzymierzeńcem uczciwości.

To wszystko nie pozwalało mi pogodzić się z tą myślą, aby taka osoba dopuściła się skrytobójczego morderstwa. Oglądając zwłoki Arteveldta widziałem dokładnie, że cios śmiertelny musiał wyjść z ręki bardzo wprawnej i już doświadczonej. Nie można przypuszczać, żeby osoba, która nigdy żadnej zbrodni nie popełniła, mogła była zadać cios tak dobrze obliczony, będąc przecież niesłychanie wzruszoną tem wszystkiem, czego doznała w czasie biesiady weselnej. Czyniąc różne poszukiwania stwierdziłem, że owej nocy, w której mord popełniono, otwarte było przejście z willi Arteveldta do domu sąsiedniego, wówczas jeszcze niezamieszkałego.

Owo przejście tworzy oszklony ganek. Zbrodniarz dostał się więc niepostrzeżenie z pustego domu przez oszklony ganek do sypialni Arteldta. Przeglądając papiery zamordowanego, znalazłem w nich listy, które dowodzą, że jest w Chicago pewna kobieta, wobec której Arteveldt zaciągnął jakieś erotyczne zobowiązania, a ona prośbą i groźbą domagała się ich spełnienia. Dowiedziawszy się, że Arteveldt ma zamiar żenić się z Leonorą Armyn, była tak oburzoną, iż czyniła nawet nie licujące z jej stanowiskiem zabiegi, aby temu przeszkodzić.

Te listy były dla mnie nicią przewodnią do szukania prawdy i tej prawdy szukałem, aż ją znalazłem; dopóty szukałem dowodów, aż ich pod dostatkiem zebrałem i teraz z zadowoleniem powtarzam, że Leonora Armyn niewinna, a morderczynią jest inna kobieta.

— Któż taki? — zapytał dr. Halle nadzwyczaj zaciekawiony.

— Laura Durand, adoptowana córka tego oto pana — odpowiedział Stuart poważnie i spokojnie.

Adwokat zerwał się z miejsca i spojrzał na mówiącego z takiem osłupieniem, jakgdyby usłyszał rzecz wprost niemożliwą. Stuart mówił dalej z tym samym spokojem.

— Wierzajcie mi panowie, że ja sam zdumiewałem się nie mniej od was, gdy tę przewrotną kobietę udało mi się zdemaskować. Ile to trzeba było czynić zabiegów, ażeby dotrzeć do dna tej zbrodniczej duszy. Zwolna, stopniowo utrwalałem swoje domysły, zbierając poszlaki a potem dowody. I oto mam dowody, że tak zwana panna Laura ukradła dwadzieścia tysięcy dolarów z biurka pana Duraanda, że swoją dobrodziejkę, która ją za córkę przybrała, chciała pozbawić życia, podsuwając jej w różnych formach truciznę. Na szczęście odkryłem to wcześnie, ostrzegłem pana Duranda i tym sposobem zapobiegliśmy zbrodni. Tak zwana panna Laura Durand zamordowała też Arteldta. Udało mi się przepatrzeć jej korespondencję z Arteveldtem. Przejrzałem też wszystkie jej szkatułki, kufry, szafki i znalazłem tam bardzo ciekawe rzeczy.

Przedewszystkiem klucze, któremi można było otwierać wszystkie drzwi willi, przytykającej do willi Arteveldta. Tymi to kluczami posłużyła się, ażeby z owej pustej wówczas willi dostać się przez szklany ganek do sypialni zamordowanego. Znalazłem też ciemny płaszcz w jednym miejscu rozdarty, z tego samego materjału, którego oddarty skrawek pewnego razu Nelly Brown jej pokazała. Ten skrawek Laura wraz z portmonetką swej przyjaciółki zabrała.

Znalazłem też zakrwawiony, wąski a cienki sztylet. Płaszcz, sztylet i klucze były schowane w torebcę podróżnej. Wyjąłem je z torebki, zapełniwszy ją czem innem. Pewnego dnia zaraz o świcie, Laura Durand wziąwszy torebkę, wyszła prędko z domu i pospieszyła nad brzeg rzeki. Poszedłem za nią niepostrzeżenie i widziałem, jak ową torebkę do wody rzuciła. Oczywiście nie zaglądała widać do niej i nie wiedziała, że wrzuca do wody niepotrzebne szpargały.

Dlatego widać pragnęła owego poranku usunąć i płaszcz i sztylet i klucze, że właśnie dnia poprzedniego Nelly Brown pokazywała jej oddarty skrawek płaszcza i groziła zdemaskowaniem. Milczenie dawnej swej przyjaciółki i opiekunki okupywała znacznemi ofiarami pieniężnemi, ale wymagania owej panny stawały się coraz większe, więc Laura Durand chciała swoją towarzyszkę uczynić nieszkodliwą i pomogła do tego, że odkryto bandę fałszerzy monet, do której towarzyszka panny Durand należała.

— Owa Nelly Brown jest teraz w więzieniu, gotowa opowiedzieć nam rzeczy bardzo ciekawe.

— Ależ to przerażające! — zawołał dr. Halle.

— Zbrodnie tej osoby są istotnie przerażające, ale sposób, w jaki umiała je ukrywać i popełniać, mistrzowstwo w udawaniu osoby uczciwej i skromnej, są może jeszcze potworniejsze, niż sama zbrodnia. Moi panowie, nie bierzcie tego za jakiś zwrot poetycki, gdy powiem, że najzręczniejszy z szatanów mógłby jej pozazdrościć obłudy.

Nastała chwila milczenia; Durand zwiesił głowę, a dr. Halle pocierał czoło. Wreszcie adwokat, zwracając się do Duranda, zapytał tonem przyjacielskim:

— Będzie to dla pana bardzo dotkliwe, gdy adoptowana córka zostanie uwięzioną.

— Uwięzienie samo przykrości panu Durandowi nie sprawi — rzekł Stuart. — Przykrą byłaby tylko rozprawa sądowa i zasądzenie, ale zdaje mi się, że bez tego obejść się może, jeżeli tylko pan na to zezwoli, panie doktorze, jako zastępca matki zamordowanego.

— Jak to? Więc zbrodnia miałaby ujść bezkarnie? — zawołał dr. Halle ze zdziwieniem. — Nie rozumiem pana.

— Zaraz wytłumaczę. Laura Durand popełniła jeszcze większą zbrodnię w Anglii i za nią przed sądami angielskimi postawioną być może. Czyż nie lepiej, uwięziwszy ją, oddać sądowi angielskiemu, niż stawić ją przed sądem naszym i oskarżyć o kradzież i morderstwo? Tok rozprawy sądowej musiałby dobyć na jaw co nieco z różnych płochych wybryków zamordowanego, a to dla nieszczęśliwej matki byłoby bardzo bolesne. Również i dla państwa Durandów nie bardzo to pożądane, aby ich nazwisko sprzęgać z rozprawą sądową. Laurę Durand mogłem był już dawno uwięzić, ale nie chciałem tego czynić bez porozumienia się z panami.

XXVII.

WYZNANIE.

— Jakoś dwa lata temu — opowiadała Nelly Brown — płynęłam z Liverpoolu do New Yorku. Tym samym parowcem płynęli także państwo Durandowie z córką. Nikt z nich nie zwracał na mnie uwagi, bo ja, jako osoba biedna, byłam w drugiej klasie.

Jakże zazdrościłam córce bogatych rodziców, co jak księżniczka używała dostatków, a wyniośle spoglądała na otoczenie, które jej się wydawało niższem od stanowiska rodziców. Wówczas nie przeczuwałam, że wkrótce spotkamy się i że połączą nas dziwne stosunki.

Przybywszy do New Yorku, znalazłam skromne zajęcie. Pewnego dnia, wracając do domu, spotkałam na ulicy pannę Durand w towarzystwie młodego człowieka. Wiedziona po części dziwną jakąś niechęcią ku tej dumnej osobie, postanowiłam ją śledzić. Jakoż przekonałam się, że panna Durand udała się z młodym człowiekiem do pewnego domu, skąd wyszła z nim po dwóch godzinach. Powzięłam myśl żeby z tego wysnuć dla siebie jakieś korzyści. Dowiedziawszy się o mieszkaniu państwa Durandów, poszłam do panny Laury, opowiedziałam jej wręcz, że ją śledziłam i wyśledziłam jej schadzkę z młodym człowiekiem. Aby okupić moje milczenie ofiarowała mi bardzo cenny pierścionek z brylantami. Przy tej sposobności dowiedziałam się, że państwo Durandowie tylko chwilowo przebywają w New Yorku a mieszkają stale w Chicago. Zdarzyło się, że poznałam Fergusa, pokochałam go i z miłości do niego udałam się za nim także do Chicago. Pewnego razu zobaczyłam w teatrze pannę Laurę Durand z tym samym młodym człowiekiem, z którym miała schadzkę w New Yorku. Był to Frank Arteveldt. Nakłoniłam Fergusa, żeby się z Arteveldtem poznał i zaprzyjaźnił, przez co mogłabym dowiadywać się różnych szczegółów z życia tej dumnej córki milionerów, aby ją kiedyś upokorzyć. Po niejakim czasie miłość Fergusa ku mnie zaczęła nieco stygnąć, co mnie i bolało i niepokoiło. Być może, że moje skromne stanowisko zniechęcało go do mnie, więc zapragnęłam dostać się w sferę lepszego towarzystwa. Fergus pragnął także zawiązać stosunki towarzyskie w wybitniejszych domach miasta.

Aby i sobie i jemu drogę do tego utorować, udałam się do Laury z żądaniem, aby mnie w charakterze swej towarzyszki w dom swych rodziców zaprosiła. Z początku opierała się temu zawzięcie, ale wreszcie ustąpiła z obawy, abym nie zdradziła jej zbyt swobodnych stosunków z Frankiem Arteveldtem.

Lękała się mnie i nienawidziła: byłam dla niej ciągłym wyrzutem sumienia i bezustanną groźbą. Ta nienawiść Laury była mi zupełnie obojętna; Laura była dla mnie niewyczerpaną skarbniczką dochodów i korzyści. Fergus zaprzyjaźniał się coraz ściślej z Arteveldtem, żyli ze sobą bardzo poufale, wiec łatwo było spostrzedz Fergusowi, że Arteveldt odwracać się zaczyna od Laury, że dąży do zerwania dotychczasowych stosunków. Chciał z tego skorzystać i zająć w sercu Laury miejsce swego przyjaciela, aby przez bogate ożenienie wspiąć się na wyżyny towarzyskie. To obudziło moją zazdrość, mściłam się na Laurze, dokuczałam jej zawzięcie, aż ona, znieść tego nie mogąc, postanowiła się mnie pozbyć.

W pomoc przybył jej Fergus, zniewoliwszy mnie do tego, abym mu pomagała we fałszerstwie monet. Zgodziłam się opuścić dom państwa Durandów dobrowolnie pod warunkiem, że mi Laura zapłaci 20.000 dolarów.

Nie wyobrażałam sobie, aby tak znaczną kwotą dysponować mogła, jednak Laura wypłaciła mi te pieniądze i to zaraz nazajutrz po owym dniu, w którym pana Duranda okradziono. Jakoś około tego czasu zaczęły się rozchodzić wieści, że Arteveldt zamierza się ożenić z panną Armyn. Oczywiście, że Laura o tem się dowiedziała i teraz zaczęły się burzliwe sceny. Laura prośbą i groźbą starała się odwieść swego kochanka od ożenienia się z inną kobietą, ale Arteveldt był nieugięty. Odwiedziła też pannę Armyn, łudząc się nadzieją, że ją nakłoni do zerwania z Arteveldtem.

Gdy i tu doznała zawodu, zmieniła się w dziwny sposób. Stała się tak lodowato spokojną, że musiałam w tem upatrywać jakiś nienormalny stan duszy.

Fergus szukał odpowiedniego mieszkania na założenie schroniska dla fałszerzy monet. Raz nadmieniłam coś ogólnikowo, że Fergus szuka mieszkania, bo ma się ze mną ożenić. Oczywiście nie mówiłam o właściwym celu. Wtedy bardzo namawiała mnie Laura, abyśmy z Fergusem wynajęli willę przytykającą do tej, którą Arteveldt wynajął dla siebie. Fergusowi ta myśl się spodobała i rzeczywiście mieszkanie to wynajął. Tymczasem klucze od najętego mieszkania oddał mi Fergus do przechowania. Jakoś tak się złożyło, że zaraz po widzeniu się z Fergusem, gdy mi klucze wręczył, poszłam wprost do Laury. W toku rozmowy opowiedziałam, że mieszkanie wynajęte i pokazałam klucze.

Wróciwszy do domu, spostrzegłam, że kluczy nie mam. Byłam pewną, że ich nie zgubiłam, więc niezawodnie u Laury zostawić je musiałam. W godzinę potem byłam ponownie u Laury, żeby zabrać klucze, ale ich znaleść nie było można i dopiero na drugi dzień odesłała mi je Laura z doniesieniem, że je pod kanapą przypadkowo znalazła. Wydało mi się to bardzo podejrzane i nasunęło mi się na myśl, że owe klucze zręcznie mi zabrała po to, aby według nich dać zrobić takie same.

(Dokończenie nastąpi)



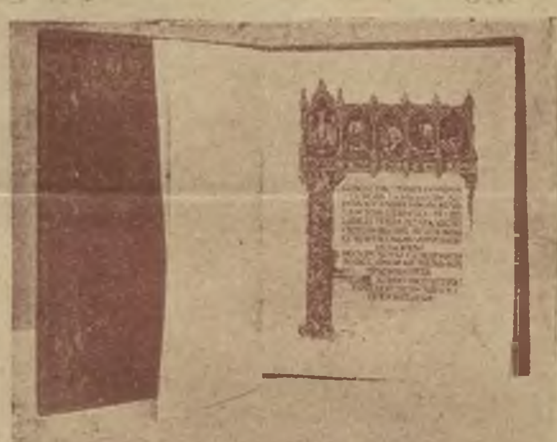
Ś. p. prof. dr. Józef Łazarski.

Ś. p. Dr. Józef Łazarski

b. Rektor Uniw. Jagiellońskiego.

We czwartek dnia 24 stycznia o godz. 3 popoł. zmarł w Krakowie znany i ceniony lekarz i profesor, b. rektor Uniwersytetu Jag. Dr. Józef Łazarski w wieku 70 lat.

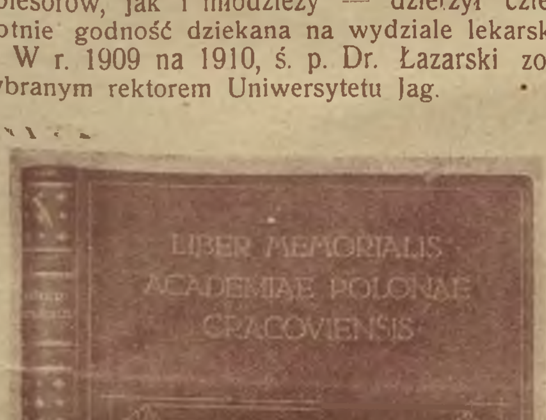
Ś. p. Zmarły studja wyższe kończył w Wiedniu, gdzie otrzymał stopień doktora medycyny w r. 1883, jako specjalista Farmakologji i Farmokognozji. Po skończeniu studjów Dr. Łazarski przybywa do Krakowa, gdzie zajmuje w Uniwersytecie Jagiellońskim stanowisko profesora.



Pierwsza strona księgi pamiątkowej Akademji Umiejętności z tekstem w języku łacińskim.

Ciesząc się powszechną sympatją, tak grona profesorów, jak i młodzieży — dzierżył czterokrotnie godność dziekana na wydziale lekarskim.

W r. 1909 na 1910, ś. p. Dr. Łazarski został wybranym rektorem Uniwersytetu Jag.



Wspaniała oprawa księgi pamiątkową Akademji Umiejętności wykonana w zakładzie intr. R. Jahody.

Umysł ten niepospolity, pozostawił po sobie szereg prac większych z zakresu medycyny, jak: „O sporyszu krajowym", „O działaniu sinku potasu i kwasu pruskiego". Nadto Zmarły pozostawił po sobie szereg pomniejszych prac, które świetlanemi zgłoskami zapiszą Jego imię w pamięci potomnych.

Mimo nawału pracy — ś. p. Dr. Łazarski nie odgradzał się od świata murem, lecz brał silny udział w życiu społecznem. Wystarczy wspomnieć, że przez długie lata był on prezesem Izby lekarskiej w Krakowie, członkiem Rady sanitarnej w Wiedniu, prez. adm. szpitala św. Łazarza itd. Społeczeństwo krak. i całej Polski ponosi ciężką stratę.

* * *

Pogrzeb ś. p. Dra Józefa Łazarskiego na cmentarzu rakowickim odbył się w niedzielę dnia 27-go.

O godzinie 3. popoł., po odprawieniu modłów żałobnych przy zwłokach Zmarłego w domu żałoby przy ulicy Dietlowskiej, wyniesiono trumnę do karawanu, nad którą przemawiał, żegnając śp. Dra Łazarskiego, rektor Uniw. Jagiel. dr. Łoś. Następnie kondukt żałobny ruszył ulicami Dietlowską, Starowiślną, Potockiego, Lubicz i Rakowicką w kierunku cmentarza. Obok karawanu postępowali pedele z insygnjami uniwersyteckiemi. Za karawanem postępowała rodzina Zmarłego, rektor Uniw. Jag. dr. Łoś z dziekanami wszystkich wydziałów, grono profesorów Uniw. Jag. in corpore, przedstawiciele prezydjum miasta oraz szereg osobistości naszego miasta.



Ś. p. Włodzimierz Despot-Zenowicz.

Ś. p. Włodzimierz Zenowicz.

Ciężkim zaiste jest los polskiego dziennikarza! Wstrząsającym przykładem było życie i śmierć zmarłego onegdaj ś. p. Włodzimierza Zenowicza, który męczeńskie dnie swoje zagoryczone jeszcze ciężką, nieuleczalną chorobą i zupełną utratą wzroku — zakończył w szpitalu!

Ś. p. Wł. Zenowicz liczył 52 lat życia, a życie to było ciężkie i ciernistę zaznaczające się ustawiczną walką o suchy — dosłownie — suchy kawałek chleba.

Skończywszy gimnazjum w Krakowie, uczęszczał przez lat kilka na wydział medyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Porzucił jednak medycynę, by poświęcić się pedagogji. Objął wówczas posadę profesora gimnazjalnego we wschodniej Małopolsce, by porzuciwszy jednak i ten zawód poświęcić się publicystyce, literaturze i dziennikarstwu, do czego skłaniały go wrodzone zdolności, dar słowa i świetne, skrzące dowcipem pióro.

W r. 1908 wstąpił w skład redakcji „Nowości Illustrowanych" i od tego czasu stale pracował w tem Wydawnictwie. Niestety! ostatnie 4 lata powalony został na łoże ciężkiej niemocy, z której się już nie podniół.

Ś. p. Zenowicz był pisarzem nieprzeciętnej miary oraz pracowitym, sumiennym pracownikiem pióra, a zacny Jego charakter zjednywał mu wszędzie przyjaźń i szacunek ludzi.

Cześć Jego pamięci!



Małżeństwo japońskiego regenta: Następca tronu i regent Japonji ks. Hirohito.



Małżeństwo japońskiego regenta: Księżniczka Kuninomija Nagarko, którą zaślubił w styczniu książę regent.



Piękna księga i piękne pismo: Okładka ostatniego numeru „Iskier".



Z zawodów klasfikacyjnych w Zwiczynie.

Piękne pismo i piękna książka.

W dzisiejszych czasach zupełnej pauperyzacji warstw inteligencji — nabycie nieoprawnej nawet broszurowanej książki stanowi dla przeciętnego inteligenta wydatek rujnujący dotkliwie jego budżet. Oprawienie zaś książki, najbardziej ulubionej książki staje się coraz powszechniej... marzeniem niedoścignionem. A przecież oprawa zharmonizowana z treścią i charakterem książki jest niezbędnem uzupełnieniem estetycznem tych książek, które są przyjaciółkami i towarzyszkami życia umysłowego.

To też niejeden inteligent z zazdrością i niezaspokojoną tęsknotą ogląda nowe piękne wydawnictwa przez... szybę wystawową księgarni, albo marzy sobie bezpłodnie o ujęciu swych ulubionych książek w oprawę półskórkową czy pergaminową.

Marzy — i tylko marzyć może, gdy sztuka introligatorska, sztuka nadawania książce pięknej szaty zewnętrznej pracuje dla innych. Zdarzają się jednak i takie sytuacje, gdy tych przepychów biedny inteligent nie zazdrości drugim — a to wtedy, gdy piękna książka znajduje się w ręku godnych właścicieli.

Oto podajemy poniżej fotografję pięknej księgi pamiątkowej Akademji Umiejętności, ufundowanej z okazji jubileuszu, który, jak pamiętamy, uświetnił swą obecnością prezydent Wojciechowski. Piękny był to jubileusz i piękną jego pamiątką jest księga, która też godną swej treści otrzymała oprawę. Bronzowa skóra z wypukło wyciśniętym napisem i harmonijnie skomponowanemi dyskretnemi wyciskami składa się na całość oprawy, stanowiącej prawdziwe dzieło sztuki. Wyszła ona z pracowni krakowskiej dr Roberta Jahody, który zdobnictwo księgarskie traktuje jako artyzm i istotnie w pracowni swej wykonuje prawdziwe dzieła sztuki.

* * *

A teraz inne zjawisko z dziedziny wydawniczo-artystycznej — tem radośniejsze, że bardziej i szerzej dostępne, niż pięknie oprawiona księga. Na taką oprawę, jaką uzyskała Akademja rzadko kto będzie mógł się zdobyć, natomiast na zaprenumerowanie „Iskier" powinien się zdobyć każdy posiadający dziecko w wieku szkolnym. Choćby mu to miało przyjść z wysiłkiem. Bo dawno nie mieliśmy w Polsce takiego pisma dla młodzieży, jak „Iskry", świetnie redagowane przez znanego publicystę i pedagoga p. Władysława Kopczewskiego. Wystarczy przejrzeć choćby numer ostatni.

Redakcja tego żywotnego tygodnika ilustrowanego dla młodzieży potrafiła zjednać sobie współpracę najwybitniejszych sił naukowych i literackich. Uczony europejskiej sławy prof. Tadeusz Zieliński, rozpoczął w tym numerze artykuł o Grecji. Głęboka wiedza idzie tu w parze ze świetnem znawstwem wyobraźni dziecka. Dawne Ateny — żyją. Zwiedzamy je z posłami z Efezu. Świetny popularyzator i narrator Janowski oprowadza czytelników po Parku Narodowym w Jellowstone w Ameryce. Cały numer jest niezwykle ciekawy i bogaty. Dla wiadomosci czytelników i oddania sprawiedliwości zasłudze wydawców, znaczamy tylko. „Iskry" wydaje Książnica Polska Tow. Naucz. Szkół Średnich i Wyższych w Warszawie (Nowy Świat 59).

Istotnie takie wydawnictwo jest czynem obywatelskim.



Z zawodów klasfikacyjnych w Zwiczynie.

Jak się Czesi przygotowywali do Olimpjady.

Pamiętamy, na jakie trudności natrafiał wyjazd naszych zawodników na Olimpjadę do Chamonix.



Czeskie zawody klasyfikacyjne na Olimpjadę. Na starcie w Zwiczynie. Fot. Centr. Eur. Press.

Szczególnie sprawa wyjazdu wojskowego patrolu narciarskiego aż do końca pozostawała pod znakiem zapytania i dopiero dzięki osobistej interwencji p. ministra spraw wojskowych gen. Sosnkowskiego, doszła do skutku. Pamiętamy, że przygotowania nasze do Olmpjady może głównie dzięki tej niepewności skromne ayły i nie rzucające się w oczy szerszej publiczności.

Inaczej — bo z wielkim rozmachem i na wielką skalę przygotowywali się na Olimpjadę Czesi. W Pradze czeskiej odbyły się specjalne zawody klasyfikacyjne ski-kjörringu, — zaś w Zwiczynie wielkie zawody narciarskie z udziałem najwybitniejszych narciarzy czeskich.

Podajemy tu ilustracje z zawodów zwiczyńskich nadesłane nam przez biuro ilustracyjne Central Europeau Press w Pradze czeskiej. Jak wiadomo, centralnym punktem tych zawodów były wyścigi na iorze 35 kilometrów, w których zwyciężyli Gotsztein, Nemecky i Hevak.

* * *

W najbliższym numerze będziemy mogli podać Czytelnikom naszym szereg oryginalnych zdjęć z Olimpjady w Chamonix, które przyrzekł nam uprzejmie nadesłać Francuski Komitet Olimpijski.

Sądzimy, ze zdjęcia te zainteresują wszystkich sportsmenów polskich.



Czeskie za wody klasyfikacyjne na Olimpjadę. Zwyciescy w biegu na 35 kilometrów Gottsztein, Nemecky. Hevak. Fot. Central Europ. Press.



Stańczyk — Kaduceus, stworzony w pracowni artystycz.ej red. Marji Korolewiczowej, który stanowi nagrodę za najefektowniejszy kostjum męski na tegorocznej Reducie prasy.

Z pogranicza zaświatów.

Metapsychika, ta wiedza przyszłości o inteligencji ludzkiej nie przykutej kajdanami zmysłów do codziennych objawów szarego przyzwyczajenia — zadziwia obecnie laików i uczonych zjawiskami t. zw. „materjalizacji“. Naiwni widzieli i zwykli do dziś widzieć w tych przejawach ukazywanie się prawdziwych duchów, odwiedzających po swej śmierci grona wierzących i praktykujących spirytystów. Uczeni natomiast stają na stanowisku innem i tłumaczą te zjawiska „ideoplastją“, czyli ucieleśnianiem się wyobrażeń i myśli osób biorących udział w seansie. Już w jednym z ostatnich numerów „Nowości“ z roku zeszłego zamieściliśmy rzeczowy artykuł dr. A. Klęska o ektoplazmie, która jest zasadniczą formą i tworzywem wszelkich zjawisk materjalizacyjnych. Dziś podajemy Czytelnikom trzy zdjęcia na których widzimy materjalizującą się zjawiskową rękę, dotykającą medjum p. Stanisławy P. — i ślady jakie taka materjalizacja po sobie nieraz pozostawia, t. j. odlewy w parafinie. Odlewy te sporządzone zostały na seansach ze słynnym medjum polskim, a jednym z najsłynniejszych medjów świata, Frankiem Kluskim, pod którym to pseudonimem ukrywa się znany i wybitny dziennikarz i poeta warszawski.

Jak wiadomo odlewy te otrzymuje się w ten sposób, że doprowadza się do tego, by ręka zjawiskowa zmaterjalizowana, (taka jaką widzimy na wspaniałem zdjęciu prof. Schrenk Notzinga) zanurzyła się na chwilą w wanience z gorącą roztopioną parafiną. Gdy bezpośrednio potem ręka ta się dematerjalizuje — pozostawia po sobie olew, podobny do rękawiczki z zastygłej parafiny, z której dokonuje się odlewu ostatecznego. Jak widzimy z fotografji, formy tych odlewów są takie, że żywe, prawdziwe ręce nie mogłyby ich nigdy zostawić, wysuwając się bowiem z tej formy, musiałyby ją zniszczyć zupełnie.



Z pogranicza zaświatów: Zdjęcie magnezjowe materjalizującej się ręki dokonane przez profesora dra Schrenk-Notzinga na seansie z medjum p. Stanisławą P.

„Revue Metapsychique“ reprodukuje oświadczenia urzędowe, że te parafinowe odciski nie należały do żadnego z obecnych podczas seansu i to na podstawie badania linij pupilarnych rąk danych osób.



Z pogranicza zaświatów: Odlewy zmaterjalizowanych rąk, sporządzone przez uczonego francuskiego Dr. P. Peley po doświadczeniach z medium „Kluskim“ w Warszawie.

Na zakończenie anegdotka. Wrogowie tych zjawisk rozgłaszają, dla ośmieszenia całej sprawy, fakt, że pewnego dnia otrzymano materjalizację pewnej części ciała, o której się nie mówi. Otóż radzono owym sceptykom, aby się przekonali doświadczalnie, czy tego rodzaju eksperyment można uważać za złośliwy żart medjum i spróbowali zrobić odcisk i odlew jakiejkolwiek. choćby takiej samej części swego własnego ciała — w roztopionej, gorącej parafinie.



Ianina Kozłowska, artystka teatru „Operetka“ w Krakowie.

Występy p. Janiny Kozłowskiej w teatrze „Operetka“.

Po długich niepowodzeniach i niedomaganiach Teatr „Operetka“ znowu się ożywił. — Zjednoczenie artystów pod kierownictwem tak wybitnie utalentowanych i rutynowanych artystów jakimi są p. L. Sempoliński i p. Janina Kozłowska zdołało wreszcie rozruszać z apatji operetkę i obudzić dawne z przed dobrych lat zainteresowanie. — Wystawiane w obecnym sezonie operetki między innemi „Szalona Lola“ i „Bajadera“ cieszą się ogromnym zrozumiałym powodzeniem i sukcesem i rokują na przyszłość jaknajlepsze nadzieje.

Obok zamieszczamy podobiznę p. Janiny Kozłowskiej primadonny i gwiazdy operetki, której niezrównane role ostatnio Toli w „Szczęściu Mery“, jak niemniej w arcykomicznej, a najsenzacyjniejszej operetce Giberta „Katja tancerka“ wzbudzają szczery zachwyt i wyjątkowe zainteresowanie całej prasy i publiczności naszego miasta.

Odpowiedzi z działu grafologicznego

ilustrowane fotografjami nadesłanych prób pisma od następnego numeru ukazywać się będą stale

Straszny sen narciarki w sleepingu jadącym do Chamonix.



Na tle zawodów narciarskich pań w Chamonix, pismo paryskie La Vie Parisienne, podaje następującą historyjkę w obrazkach:

Historyjka ta maluje niesamowity straszny sen (na szczęście: tylko sen) nie naszej — naturalnie — narciarki, p. Zientkiewiczowej, która pojechała do Chamonix naprawdę, lecz jakiejś sportsmenki paryskiej.

Sens moralny historyjki jest taki:

— Unikajcie bałwanów — choćby tylko śnieżnych!

MASZYNY
do pisania i do rachowania

przyjmuje do gruntownej naprawy i czyszczenia, pierwszy w Małopolsce zakład mechaniczny

WŁODZ. KEYHA, mechanik
Kraków, ul. Frorjańska L. 3.

Fortepiany i Pianina

Bechstein
Blüthner
Bösendorfer

do nabycia tylko u firmy:

Helena Smolarska
Kraków, ulica Szewska L. 9 I. p.

Zakład techniczno-dentystyczny
N. KLEINBERGERA
Kraków, Szewska 27 I. p. (narożnik Plant)
otwarty od godz. 9—1 i od 3—6.

FIRANKI, PORTJERY i KAPY NA ŁÓŻKA
poleca w wielkim wyborze i po cenach bardzo przystępnych firma
KAROL JAROSZ
Kraków, Floryańska 35

Zbrodnią!
Podłością!
Nikczemnością!
byłoby wpisywanie się do zagranicznych towarzystw korespondencyjnych, gdy jedynem polskiem towarzystwem międzynarodowej wymiany jest
„Orient-Okcidental“
Adres: Kraków, ul. Retoryka L. 1, II. p
Wkładka roczna 5 fr. walor. po kursie dziennym.

„FASCINATA“
Wody kolońskie Żądać wszędzie!



Kremy mydła, perfumy Żądać wszędzie!

Fabryczny skład; M. STATTER I E. KLAPHOLZ
— Kraków, ulica Karmelicka L. 28. —

Najtańsze źródło zakupu
Prawdziwych Dywanów Perskich
Bardzo rzetelna obsługa.
Oglądanie nie obowiązuje do kupna — tylko u
I. Lewkowicza, Kraków, ulica Grodzka L. 39.

Stanisław Hachaj
ul. św. Tomasza l. 9.
Magazyn i pracownia obuwia damskiego, męskiego i dziecęcego.
Najnowsze fasony angielskie, francuskie, warszawskie, stale na składzie w wielkim wyborze.

KAWALER, ze starej rodziny na wysokiem stanowisku z powodu braku znajomości, po powrocie z Ameryki zawiąże znajomość z panną lub młodą wdową.—
Cel matrymonialny.—
Zgłoszenia nieanonimowe z fotografiami nadsyłać do administracyi „Nowości Ill.“ pod literę B. N.

RUTYNISTA buchalter i korespondent, były szef oddziału taryfowego w wielkim przedsiębiorstwie spedycyjnem, z praktyką bankową, organizator energiczny i przedsiębiorczy, poszukuje posady poza Krakowem. — Łaskawe zgłoszenia z podaniem warunków do Admin. „Nowości Illustr.“ Kraków, ul. Kazimierza Wielk. L. 95. pod „Tebe“.



F. Lubański, Kraków, ul. św. Anny 2.

REFORMA PRAWA MAŁŻEŃSKIEGO
przez Dra Z. Mandla adwokata w Krakowie omawia problem rozwodu, seperacji, ślubów cywilnych i t. d. z uwzględnieniem ustawodawstwa trójdzielnic.
DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH.

Materyały wełniane!
na suknie i kostyumy damskie
na ubrania męskie
płaszcze i raglany.
Markizety, batysty, woale, perkale, zefiry i szyfony
wszystko w wielkim wyborze i po cenach konkurencyjnych
poleca
KAROL JAROSZ
Krakow, Floryańska 35 (róg ul. św. Marka).

NICI
BAWEŁNY
KORDONKI
D. M. C.

Nadeszły WEŁNY na Jumpry
fabryk angielskich i francuskich
Poleca:
Polska Centrala Handl. Nićmi **S. WEGENKO i Ska**
Współwłaściciele Grochowskiej Fabryki Nici
Warszawa, Krucza 24. Tel 137-17 i 266-14.
Żądać wyczerpujących ofert i cenników.

LACET'Y
ZEPHYRY
JEDWABIE
L. V.

Abażury do lamp elektrycznych, gazowych i naftowych, artystycznie wykonane, gotowe i na zamówienie.
Lampy elektr. biurowe, na szafki nocne, wiszące, salonowe — najtaniej: WYTWÓRNIA
Inż. A. JASTRZĘBSKI
Sławkowska L. 30, I. p. Tel. 2048

WŁ. TOMASZEWSKI
Kraków, Rynek 16.
poleca w wielkim wyborze
Serwisy porcelanowe
Szkło stołowe
Lampy naftowe

KAPELUSZE damskie
o 30% taniej jak wszędzie — sprzedaje
„ANTONINA“ pracownia kapeluszy damskich
Kraków, Floryańska 13, I. p. ofic.
- Przyjmuje wszelkie roboty modniarskie. -

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. red. Dr. Lipiński. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowane“ pod zarządem L. Gromusia (firma Friedleina).